

Z ŻYCIA I DZIAŁALNOŚCI KAROLA FINNEY'A NAWRÓCENIE FINNEY'A

Było to w sobotę, pewnego jesiennego wieczoru roku 1821, gdy Karol Finney postanowił uporządkować swoje sumienie i życie z Bogiem. Gdy trwał pogrążony w modlitwie i w czytaniu Biblii, naraz ogarnął go nigdy poprzednio nieznany strach przed ludźmi. Zdjęła go obawa przed tym, żeby ktoś nie zauważył jego duchowego stanu. Ze strachu, żeby go ktoś nie usłyszał, nie odważył się nawet na głos pomodlić. Jak tylko usłyszał czyjeś kroki, chował prędko Biblię między książki. Z duchownym, na którego zebrania ostatnio regularnie uczęszczał, nie odważył się nawet spotkać.

W tym upokarzającym go stanie przeżył Finney trzy dni. Wydawało mu się, że jego serce zupełnie skamieniało tak, że nie potrafił się więcej nawet modlić. We wtorek wieczorem opanowała jego serce przerażająca myśl, że zbliża się śmierć. Zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby zmarł w takim stanie ducha, to zostanie na wieki zgubiony.

Kiedy następnego dnia, stale miotany wewnętrznym niepokojem, zaczął się ubierać, by pójść do biura jak co dzień, odezwał się w jego sercu głos: „Na co czekasz? Czyś nie przyrzekł oddać serca Bogu? Czemu się sam ze sobą zmagasz? Czyż chciałbyś zostać usprawiedliwiony swoimi poczynaniami?” W tym momencie zajaśniało mu światło. Zrozumiał, że to, czego tak gwałtownie szuka, jest już od dawna przygotowane i darowane mu. On zaś powinien to jedynie przyjąć jako dar od Boga, i poddać się Jego prowadzeniu. Zrozumiał, że chodzi tutaj o zbawienie dokonane przez Pana Jezusa dla pokutującego człowieka.

Gdy ta prawda Boża dotarła do jego serca, Finney stanął jak wryty, a po pewnej chwili zajaśniało w jego umyśle proste pytanie: „Czy chcesz przyjąć to zbawienie teraz? Dziś?” Finney odpowiedział: „Tak, ja chcę je przyjąć dzisiaj, w przeciwnym razie umrę!”

Zamiast do kancelarii, skierował swe kroki do lasu, gdzie lubił chodzić na przechadzkę. Przedarł się przez gęstwinę aż do miejsca, w którym się spodziewał, że mu nikt nie przeszkodzi. Tam padł na kolana. Lecz ledwie wyrzekł pierwsze słowa modlitwy, zerwał się na równe nogi i ze strachem zaczął się rozglądać, czy go kto nie widzi. Lecz zaraz znów ukląkł i powiedział: „Tutaj się oddam Bogu, lub się stąd nie ruszę!” Ale jakkolwiek usiłował modlić się, stwierdził, że serce jego nie może się modlić. Albo nie znajdował słów, albo wymawiał słowa bez znaczenia, a przy każdym najmniejszym szeleście zrywał się z kolan, myśląc, że go ktoś widzi. Ta rzecz powtarzała się kilkakrotnie. Nareszcie wyrzekł z rozpaczą: „Nie mogę się modlić. Me serce jest martwe dla Boga, nie będę się modlił!” Już sobie zaczął robić wyrzuty, iż złożył Bogu obietnicę, że odda Mu serce przed opuszczeniem lasu.

Nareszcie będąc już mocno zmęczony, chciał powstać i wrócić do domu. W tym momencie odniósł wrażenie, że się ktoś zbliża. Otworzył oczy, lecz było to znów tylko przywidzenie pychy jego serca, którą zaraz wewnętrznie ocenił jako obrzydliwą przewrotność. W końcu zawołał silnym głosem: „Cóż to, taki mizerny grzesznik jak ja, nie godzien podnieść swych oczu w górę ku wielkiemu, świętemu Bogu, miałby się wstydzić przed innym grzesznym człowiekiem, żeby mnie nie zobaczył klęczącego i wołającego o zmiłowanie się nade mną? Nie! Chociażby mnie wszyscy ludzie i wszyscy diabli z piekieł otoczyli, nie ruszę się stąd!”

Nareszcie zostało jego pyszne serce przed Bogiem skruszone. Jak jasny promień oświeciło jego serce to

słowo: „Jeżeli przychodząc, będziecie się do Mnie modlić, wysłucham was. A szukając Mnie, znajdziecie - jeżeli całym sercem szukać będziecie”. Tutaj dopiero całym sercem uwierzył i zawołał będąc przekonany o Bożej wierności: „Panie! Chwytam się Twego słowa. Ty wiesz, że Cię z całego serca szukam, a Ty obiecałeś, że mnie wysłuchasz. Wszak to obiecałeś!” Słowa te powtarzał raz po raz.

Jedna obietnica za drugą, przy tym jedna kosztowniejsza od drugiej, napępniały jego serce. Przyjmował je jako oczywiste prawdy Boga, który nie kłamie. „Wydawało mi się” - opowiadał później - „że te obietnice wnikały raczej do serca, aniżeli do rozumu. Uchwyciłem się ich i spocząłem na nich z siłą tonącego człowieka”.

Na wszystkie jego prośby odpowiadał mu Pan słowami, które jak rosa niebieska odświeżały jego duszę. Tak spędził tam dłuższy czas. Modlił się ze wzrastającą gorliwością, aż w końcu powstał i począł iść w kierunku drogi, powtarzając w głos: „Gdy się wreszcie nawróciłem, będę głosił Słowo Boże.” Tak idąc przybliżył się do miasta. Lecz jakież teraz uczucie pokoju zawładnęło jego sercem! Wydawało mu się w tej chwili jakby i cała przyroda nabożnie się przysłuchiwała. Nawet słońko tak wspaniale mu nigdy jeszcze nie świeciło. „Lecz co to ma znaczyć - pytał sam siebie. - Cała świadomość grzechu oraz cała obawa o mą duszę naraz zniknęła! Jeszcze nigdy w życiu nie odczuwałem takiego stanu bez troski, jeśli chodzi o moje zbawienie. Może sobie za dużo pozwoliłem, będąc na kolanach, że przypominałem Bogu Jego obietnice? Czy nie krył się w tym brak bojaźni, lub po prostu beczelność wobec Boga?” Lecz mimo tych nurtujących go myśli, zupełny spokój opanował jego serce; chociaż usiłował wywołać w swych myślach uczucie winy, nie potrafił tego dokonać. Jego myśli zostały skierowane w kierunku gorącego uwielbienia swego Boga. To źródło dziwnej radości zdawało się nie mieć końca. Było jakby niewyczerpalne.

Nastało południe i pora obiadowa. Finney jednak dzisiaj nie pomyślał o jedzeniu, lecz udał się wprost do kancelarii. Nie zastał tam nikogo. Zdjął więc wiolonczelę, żeby sobie, tak jak to często poprzednio praktykował, zagrać i pośpiewać kościelne pieśni. Głos mu jednak nie dopisał, a gdy tylko począł śpiewać słowa pieśni, łzy nie przestawały płynąć z jego oczu. Nic go nie potrafiło wyprowadzić z tego tak błędnego nastroju, nawet gdy jego szef, pan W. przyszedł i razem z nim poczęli przenosić książki i umeblowanie kancelarii do innego lokalu. A gdy wreszcie wszystko znalazło się na swoim miejscu, a pan W. poszedł do domu, życząc Finney'owi dobrej nocy, zapalił sobie ogień na kominku i zamknął drzwi, pragnąc być sam. Umysł jego wypełniły myśli, z których jedna napępniła całkowicie jego serce: „Pragnę oddać Panu całą mą duszę!”

W tym stanie duchowym przeszedł do innego pokoju biurowego, w którym nie było światła ani ognia na kominku. Zdawało się mu jednak, że pokój ten jest wspaniale oświetlony. Gdy wszedł tam zamknąwszy drzwi za sobą i począł się modlić, obraz Pana Jezusa stał jasno przed jego duchowym wzrokiem. Pan jakby spoglądał nań twarzą w twarz. Patrzył nań bez słowa, lecz takim wzrokiem, że Finney padł Mu do nóg. Tak przed Nim klęcząc płakał jak dziecko, a przerywanymi słowami wylewał przed Nim swe serce. Wydawało mu się, że zrasza w tej chwili nogi Pana Jezusa, chociaż nie miał świadomości, że się Go bezpośrednio dotyka.

O dniu tym Finney opowiadał później co następuje: „W tym położeniu musiałem się długo znajdować, bo kiedy spojrzałem na zegarek, była już późna pora. W pewnym momencie oparłem się o piec i w tej chwili dożyłem nowej fali łask. Złało się to na mnie z góry w niesłychany i dziwny sposób. Nigdy poprzednio nie słyszałem o chrzcie w Duchu Świętym, którym Pan napępnia swych świadków specjalną mocą z góry, a mniej jeszcze mogłem oczekiwać czegoś z tych rzeczy dla siebie. Obecnie jednak odczuwałem silny prąd Ducha napępniający moje jestestwo całkowicie, duszę i ciało. Byłem na wskroś przenikany jakby falami elektrycznymi, przepływającymi przez całą mą istotę, fala za falą. Czułem

tchnienie Boże.

Było już późno wieczór, kiedy wstąpił do mnie członek miejscowego chóru, którym zazwyczaj dyrygowałem. Znalazł mnie płaczącego i zaczął pytać: „Panie Finney... cóż się z panem dzieje?” Nie mogłem mu zaraz odpowiedzieć. „Czy panu coś dolega?” Zebrałem siły i odpowiedziałem: „Nie, lecz jestem tak szczęśliwy, że nie mogę więcej żyć!”

Zdziwiony gość zaraz odszedł, lecz wrócił za chwilę z jednym ze starszych zboru, który był dobrym chrześcijaninem. Wszedł także w tym momencie pewien młody nienawrócony przyjaciel Finney’a, którego dawniej miejscowy duchowny ostrzegał przed zawieraniem przyjaźni z niewierzącym Finney’em. Z chwilą kiedy ów przyjaciel wszedł do środka, zaczął mu Finney opowiadać o stanie swych przeżyć. Młody człowiek słuchał uważnie, aż naraz upadł na kolana i poprosił: „Módlcie się panowie za mnie!”

Finney i dwaj pozostali przyjaciele uklękli i modlili się zań, po czym ci dwaj powrócili do swych domów. Finney także położył się spać, lecz ledwie zasnął, został znowu przebudzony tym samym prądem miłości Bożej, który został nań wylany przez Ducha Świętego. Kiedy po ponownym zaśnięciu znów się to powtórzyło, za trzecim razem dopiero mógł usnąć na dobre.

„Kiedy się następnego dnia obudziłem, wzeszło już słońko, a jego promienie wnikały do mego pokoju. Nie mogę opisać tego wrażenia” - odpowiada Finney - „jakie to światło zrobiło na mnie. Znowu dożyłem napełnienia Duchem Świętym o podobnym nasileniu, jak w dniu wczorajszym. Klęknąłem na łóżku i płakałem z radości, wylewając swe serce przed Panem. Wydawało mi się w tej chwili, jakbym słyszał łagodne, pełne miłości napomnienie: „Czy chcesz wątpić?” „Nie!” - zawołałem pełnym głosem. - „Tego nie chcę, nie mogę!”

„W tym momencie moje serce owiewała taka pełnia wewnętrznego pokoju i radości, że nigdy w późniejszym życiu nie miałem żadnej wątpliwości co do treści mego przeżycia, że to sam Duch Boży napełnił moje serce i duszę”.

„W ten sposób poznałem usprawiedliwienie przez wiarę, jako oczywisty fakt. Mogłem także w pełni zrozumieć słowa Pisma: „Będąc tedy usprawiedliwieni z wiary, pokój mamy z Bogiem”. „Zrozumiałem dobitnie, że w onym momencie, w lesie, w którym uwierzyłem, zostało ze mnie zdjęte poczucie potępienia, dlatego też wszelkie moje usiłowania, żeby wywołać w swej duszy poczucie winy było daremne. Grzechy moje bezpowrotnie zniknęły. Zamiast zatruwać się myślą, że znów mogę popaść w grzech, moje serce było wypełnione uczuciem miłości”.

SKUTKI NAWRÓCENIA FINNEY’A

Kiedy w następnym dniu po nawróceniu Finney przyszedł do kancelarii, wkrótce po nim przyszedł także jego szef. Finney przemówił doń kilka słów na temat jego zbawienia. Ten, nie odpowiadając, popatrzył nań i ze spuszczoną głową wyszedł z pokoju. Słowa młodzieńca tak go wzruszyły, że się nawrócił.

Za chwilę wstąpił tam jeden starszy zboru, który się z kimś procesował, a w którego imieniu

Finney, jako adwokat miał występować na procesie następnego dnia. Finney na wstępie oznajmił mu, że odtąd nie będzie już występował w żadnym innym imieniu, jak tylko Pana Jezusa Chrystusa. Kiedy mu następnie opowiedział o swych wczorajszych przeżyciach, ten spuścił także głowę i wyszedł.

Kiedy go Finney spotkał w dniu następnym, jak szedł zamyślony ulicą, dowiedział się ku swojej radości, że ten swój proces odwołał. Wkrótce się także okazało, że krok ten miał dla niego błogosławione skutki.

Następnie udał się Finney do szewca, który piastował ważną funkcję w zborze. Znalazł go rozmawiającego z pewnym młodym człowiekiem na temat wiary. Finney położył koniec jego sprzeciwom w taki sposób, że ten wyszedł do pobliskiego lasku, skąd wrócił z jaśniejącym obliczem, jako nawrócony człowiek.

Wiadomość o nawróceniu się młodego prawnika obiegła lotem błyskawicy i wywołała ogromne zdumienie. Wielu nie chciało dać wiary tej wieści. Wieczorem tego dnia, który został wypełniony tylu wydarzeniami, zgromadziło się do sali modlitwy wielu ludzi, chociaż nikt na ten dzień zgromadzenia nie zwoływał. Sala była przepełniona. Nikt z obecnych, nawet miejscowy kaznodzieja, nie odważył się cokolwiek powiedzieć. Wtenczas powstał Finney. Opowiedział zebranym historię swego nawrócenia. Kiedy skończył, jeden stary prawnik pośpiesznie podszedł do wyjścia z sali, mówiąc: „Że mówi z przekonaniem, to nie ma wątpliwości, ale że zwariował, to jasne!”

Inny niewierzący mężczyzna opuścił zebranie w takim zdenerwowaniu, że zostawił nawet kapelusz. Finney’owe świadectwo wywołało takie poruszenie, że zebrania musiały się odbywać każdego wieczoru. Działo się to przez dłuższy czas, a nawróconych przybywało.

Po swym nawróceniu Finney wspominał często swych rodziców, którzy byli nienawróceni i żyli tylko doczesnymi problemami. Wybrał się więc pewnego razu do nich. Ojciec, który mu wyszedł naprzeciw, powitał go słowami: „Jak ci się powodzi, Karolu?” „Dobrze - na duchu i na ciele. Ale ty, drogi ojcze, jesteś już w podeszłym wieku. Twoje dzieci już dorosły i opuściły dom, a ja jeszcze nie słyszałem w ojcowskim domu modlitwy”. Ojciec opuścił głowę i zaczął płakać. „Wiem o tym, Karolu, wejdź więc i pomódl się ty sam”. Weszli więc i poczęli się modlić. Ojciec i matka byli bardzo poruszeni i w krótkim czasie nawrócili się oboje.

Po kilkudniowym pobycie z nimi wracał Finney z lekkim sercem do swego miejsca zamieszkania w Adams, ponieważ zostawił oboje rodziców jako głęboko wierzących ludzi. Po swym powrocie Finney stwierdził, że życie duchowe we zborze znacznie zleśniało. Zaczął więc zwracać wielką uwagę na modlitwę, wprowadzając zwyczaj codziennych porannych modlitw, żeby wszyscy nowonawróceni mogli być na nich obecni. Wstawał o świcie, przechodził przez miasteczko budząc wszystkich, którzy by mogli zaspać i spóźnić się na nabożeństwo.

Te godziny stały się później dla ich uczestników wielce błogosławione. Sam Finney żył w ciągłej społeczności z Bogiem i był wielce gorliwy w ciągłym duchowym boju o inne dusze, dlatego też osiągnął na tej drodze wielkie wyniki.

FINNEY - KAZNODZIEJĄ I PRZEŁOŻONYM ZBORU

Na wiosnę 1822 roku Finney zgłosił do konsystorza swoją kandydaturę na duchownego, gdyż pragnie poświęcić się służbie opowiadania Ewangelii. W związku z tym niektórzy z duchownych nakłaniali go do wstąpienia na studia teologiczne na uniwersytecie w Princeton. Finney nie przyjął tej rady, gdyż do studiowania na fakultecie teologicznym miał pewne zasadnicze zastrzeżenia. Wobec jego zdecydowanego stanowiska w tej sprawie, postanowiono, że może on potrzebne wykształcenie teologiczne zdobywać pod kierunkiem p.Gale, pastora swego zboru. Po dwóch latach poddany został egzaminowi w konsystorzu, a chociaż nie ukrywał swoich poglądów i pewnych różnic w pojmowaniu Słowa, został jednomyślnie uznany za kompetentnego do prowadzenia reformowanych zborów i służenia im Ewangelią. Początkowo powierzono mu mały zborek w Ewans-Mill. Wygłaszał tam kazania przepisowo - trzy razy w tygodniu i dwa razy w niedzielę. Wiedział, że posiada pełne zaufanie u członków zboru, i spotkał się z pojedynczymi nawróceniami. Lecz większego przebudzenia nie dało się zauważyć. Niezadowolony z tego stanu rzeczy, podkreślał kilkakrotnie w zakończeniu swych kazań, zarówno w niedzielę, jak i w dnie powszednie, że przybył on tu, aby pomóc duszom do przyjęcia zbawienia; że wie również, że kazania jego podobają się, ale przybył tu przede wszystkim nie po to, aby się podobać, ale pomóc duszom do skrucy; i dlatego nie jest najważniejsze dla niego upodobanie słuchaczy do jego kazań, gdy pomimo wszystko odrzucają jego Pana.

To świadczyłoby, iż jest coś nieprawidłowego, albo w nim samym, albo w słuchaczach... I przytaczając następnie słowa sługi Abrahama: „Przetoż teraz, jeśli chcecie potraktować Pana mego uprzejmie i prawdziwie, powiedzcie mi, a jeśli nie - powiedzcie mi, abym się obrócił lub w prawo lub w lewo”, zwrócił się do słuchaczy w takich słowach: „Przyznajecie, że to co głoszę, jest Ewangelią. Wyznajecie, że wierzycie w to. Myślicie przyjąć to, czy też macie zamiar to odrzucić?... Jeśli macie zamiar przyjąć - powiedzcie mi; jeśli macie zamiar odrzucić - powiedzcie mi, abym wiedział, czy mam obrócić się na prawo, czy na lewo... Muszę znać wasze zdanie w tej sprawie, a mianowicie ci, którzy pragną stać się chrześcijanami i zawrzeć pokój z Bogiem zaraz, aby powstać; i przeciwnie, ci którzy decydują się nie być chrześcijanami i chcą to okazać Chrystusowi, a też i mnie, niech siedzą nadal...”.

W odpowiedzi słuchacze patrzyli jeden na drugiego. Nie wstał nikt. „Tak więc zdecydowaliście... Odrzuciliście Chrystusa i Jego Ewangelię; świadczycie jeden wobec drugiego, a Bóg jest świadkiem wobec wszystkich was. Jest to jasne. Być może będziecie pamiętać przez całe życie, żeście w ten sposób jawnie przeciwstawili się Zbawicielowi i powiedzieli: „Nie chcemy, aby ten człowiek, Jezus Chrystus panował nad nami”.

Przygniecenie tymi słowami wszyscy członkowie poczęli z gniewem opuszczać swe miejsca, a nie słysząc Finney'a który zamilknął, zatrzymali się u drzwi. Wówczas powiedział on jeszcze: „Żał mi was! I dlatego - będzie-li to Pan chciał, będzie to woła Bożą - będę przemawiał do was jeszcze raz jutro wieczorem”.

Sala się wkrótce opróżniła. Finney pozostał w niej samotny z jednym starszym zboru, który do niego przystąpił i z uśmiechem podał mu rękę, mówiąc: „Bracie Finney, brat ich dziś zdobył. To nie dla braciom spokoju. Brat zrobił to, co było konieczne i dlatego będziemy jeszcze oglądać rezultaty!”

Obydwaj bracia spędzili dzień następny w poście i modlitwie. Do południa każdy z osobna, a po południu razem. W ciągu tego dnia rozdrażnieni niektórzy członkowie zboru myśleli nawet o dotkliwym ukaraniu Finney'a oraz o wymówieniu mu pracy. Zarzucali mu, że doprowadził ich do publicznego aktu odrzucenia Chrystusa i Jego Ewangelii.

Wieczorem obaj mężowie modlitwy pośpieszyli do sali, wypełnionej do ostatniego miejsca. Obydwaj mężowie czuli, że Pan jest z nimi, że tego wieczoru moc Boża objawi się w zgromadzeniu.

Finney, bez żadnego wstępu i śpiewu, rozpoczął zgromadzenie tymi słowami Izajasza proroka: „Powiedzcie sprawiedliwemu, że mu dobrze będzie; bo owoców uczynków swoich pożywać będzie. Ale biada niepobożnemu! źle mu będzie; albowiem zapłata rąk jego dana mu będzie” (Izaj. 3, 10.11).

Finney odczuwał w tej chwili nad sobą moc Bożą. Jak mocny prąd działały jego słowa, druzgocąc wszelkie przeszkody. Ze spuszczonej głowami siedzieli słuchacze, będąc przekonani o swej winie. Mówił przeszło godzinę, po czym ogłosił przyszłe zebranie i prędko skończył.

Tego wieczoru zaprosiło Finney’a kilku duchowo poruszonych członków zboru, żeby ich odwiedził, a przy dalszych odwiedzinach następnego dnia, mógł zobaczyć, jak potężne działanie miało poprzedniego dnia czytane Słowo. Znajdował on zborowników do gruntu wstrząśniętych i pragnących zbawienia. Zaczęło się przebudzenie.

Niektóre wypadki są zadziwiające. Pewien mężczyzna był tak wściekły z powodu nawrócenia się jego żony, że przyszedł na zebranie z nabitym pistoletem, zdecydowany, że Finney’a zastrzeli. Podczas kazania spadł z krzesła i zaczął krzyczeć: „Pójdę do piekła”. Musiano go wynieść. Następnego dnia przyszedł na zebranie jako nowo narodzony. Od tego momentu stał się jednym z najgorliwszych obrońców Ewangelii w Ewans-Mill.

Pewien grubiański oberżysta, który złorzeczył ewangelistom i stroił sobie z niego żarty, a czynił to jedynie dlatego, że przez przebudzenie zaczęło jego klientów gwałtownie ubywać, wyznał publicznie swój grzech, a w jego domu zaczęły się odbywać od tego dnia wieczorne nabożeństwa.

Jednym z najskuteczniejszych środków, jakich Finney używał, żeby skłonić dusze do zdecydowanego oddania się Panu, były osobiste rozmowy. Dzięki temu miał możliwość wyjaśnienia wierzącym ludziom wielu problemów, które ich nękały. Panował podówczas zwyczaj, że wzywano wierzących, żeby prosili o nowe serca. Wychodziło się przy tym z założenia, że pragną oni być wierzącymi, ale że trzeba przy tym wiele usiłowań, żeby skłonić Boga do nawrócenia ich. Finney zaś starał się im wyjaśnić, iż to właśnie Bóg pragnie ich skłonić do natychmiastowej decyzji. Bóg jest zawsze gotowy pomóc im, lecz oni nie chcą. I dlatego starał się on nakłonić ich do natychmiastowej decyzji uwierzenia i nawrócenia się do Pana Jezusa, poddania się Mu i uchwycenia się Go.

Chciał, żeby zrozumieli, że wszelka zwłoka oznacza groźne zaniedbanie swych powinności. Tłumaczył im, że prosząc o nowe serce, całą odpowiedzialność za swój los składają jakby na Boga, a przecież jeśli sami nie oddadzą swego serca Panu, to wszelkie ich dalsze usiłowania są próżne.

Po sześciu miesiącach powstały na skutek działalności Finney’a w Ewans-Mill dwa zbory, których członkowie byli przeważnie nowo nawróconymi ludźmi. Finney odczuł jednak, że go Pan powołuje do innych zadań i dlatego nie może pozostać pastorem tylko w jednej miejscowości. Dlatego po pewnym czasie Finney wyjechał do Antwerpii, małego miasteczka na północ od Ewans-Mill.

DZIAŁALNOŚĆ FINNEY'A JAKO EWANGELISTY

I KAZNODZIEI PRZEBUDZENIOWEGO

W Antwerpii sytuacja wyglądała niewesoło. Kościół był już od dłuższego czasu zamknięty. Tylko trzy lub cztery osoby odważyły się oficjalnie uważać się za wierzących. Pijaństwo, prostytutka i inna bezbożność były na porządku dziennym do tego stopnia, że kiedy Finney przechodził ulicą i słyszał same złorzeczenia i przekleństwa, wydało mu się, że znajduje się w przedsionku piekła. Człowiek, w którego rękę znajdowały się klucze zamkniętego kościoła, odmówił otwarcia sali zgromadzeń. Finney osiągnął jedynie tyle, że mu została wypożyczona szkolna sala na niedzielne nabożeństwa.

Sobotę spędził na duchowym bojowaniu i na gorących modlitwach, aż otrzymał od Pana odpowiedź: „Nie bój się, ale mów, i nie milcz; bom Ja jest z tobą i nikt nie targnie się na ciebie, aby ci miał co złego uczynić, albowiem Ja wiele ludu mam w tym mieście” (Dz. Ap. 18,10).

Kiedy jednak usłyszał wybuchy szyderstw i pośmiewiska, jakie wywołało ogłoszenie o mającym się odbyć nabożeństwie, siedł trzykrotnie do pobliskiego lasu, a pełnym głosem wołał do Boga o pomoc, i dopiero za trzecim razem otrzymał upragnione posilenie z góry. Zniknęło w jednej chwili uczucie rozpacz, a serce zostało napełnione pokojem i radością. Gdy wszedł na salę, zobaczył, że jest przepełniona. „Trzymałem moją małą Biblię w ręce” - opowiada Finney - i przeczytałem obecnym tekst: „Albowiem tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto Weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny”.

„Jeszcze dziś pamiętam jak byłem wewnętrznie pobudzony, aby jasno przedstawić, czym odpłaca człowiek Bogu za taką wielką Jego miłość. Mówiłem serdecznie i ze łzami, a włożyłem w te słowa całą swoją duszę. Rozpoznałem przy tym niektórych mężczyzn, których wczoraj słyszałem okropnie przeklinających się wzajemnie i bluźniących Imię Boże, wskazałem wprost na nich, i upominałem ich, jak mogli imieniu Bożemu do tego stopnia złorzeczyć. Powiedziałem im, że wydało mi się, jakbym na ulicy słyszał bluźniercze wycie psów piekielnych i czułem się, jakbym zatrzymał się na progu piekła. Wszyscy wiedzieli, że to co mówię, jest prawdą. Wyczuwałem, że serca ich kruszeją pod mocą prawdy. Nie wyglądali na obrażonych, na odwrót, całe zgromadzenie zaczęło wraz ze mną płakać”.

Po skończonym nabożeństwie, kościelny, ten sam, który jeszcze rano odmówił otwarcia kościelnej sali zgromadzeń, teraz ze wzruszeniem ogłosił, że na popołudniowe nabożeństwo otworzy ją. O tym drugim w tym mieście nabożeństwie Finney powiedział: „...Wszyscy mieszkańcy tej miejscowości byli obecni, a Pan dał mi szczególną moc”.

Kazanie Finney'a było po prostu duchowa walką ze słuchaczami. „Karciłem ich, jak na to zasługiwali, lecz działało się to z prawdziwym współczuciem i litością, które słuchacze mogli odczytać w moich oczach”.

Większość słuchaczy została doprowadzona do poznania swych grzechów, i nastał tam tak wielki głód Słowa Bożego, jakiego Finney przedtem nie widział. Każde zebranie było przepełnione zaniepokojonymi duszami, mimo że kazał w niedzielę dwukrotnie, a ponadto prowadził jeszcze kołka modlitwy oraz wieczorne zebrania w sąsiedniej miejscowości.

Cała okolica została poruszona. Jeden staruszek zaprosił Finney'a do głoszenia Ewangelii w jego wiosce, leżącej w pobliżu. Finney z radością zaproszenie to przyjął. Gdy tam przybył, sala szkolna przepełniona była do tego stopnia, że Finney mógł przedostać się jedynie do drzwi i był zmuszony tam pozostać. Opowiada on następująco o tym zgromadzeniu: „Na początku przeczytałem im treść pieśni kościelnej, lecz nie wzywałem do śpiewu, gdyż nie wyglądało na to, aby słyszano tu kiedykolwiek jakąś muzykę kościelną. Ale wszyscy śpiewać chcieli. I śpiewali, ale na swój sposób. Mój słuch ukształtowany został przez naukę muzyki religijnej i dlatego ten ich straszliwy dysharmonijny wrzask doprowadził mnie do takiej rozpacz, że w pierwszej chwili chciałem stamtąd uciec, ale w końcu zasłoniłem rękami uszy, mocno je przyciskając. Nic jednak nie mogło mnie odgradzić od tej kakafonii. Stałem póki to trwało, a gdy przestali uklęknąłem w tym stanie depresji i począłem modlić się. Pan otworzył okna niebios, duch modlitwy został wylany i modliłem się całym sercem.

Nie zastanawiałem się zbyt uważnie nad tekstem przedtem, gdyż chciałem najpierw przyjrzeć się zgromadzeniu; i teraz gdy tylko skończyłem modlić się, powstałem z kolan i wypowiedziałem te słowa Pisma: „Wstańcie, uchodźcie z tego miejsca, gdyż Pan zniszczy to miasto”. Powiedziałem im, że nie mogę przypomnieć sobie, w którym miejscu ten tekst jest zapisany, powiedziałem im najbardziej dokładnie, gdzie będą mogli go znaleźć, a następnie przystąpiłem do wyłożenia jego treści”.

Tutaj zaczął opowiadać Finney historię Lota i jego stryja Abrahama, wyraźnie przy tym charakteryzując ich i mówiąc jakim był i kim był każdy z nich. Opowiedział o osiedleniu się Lota w Sodomie, o postępowaniu sodomskich obywateli, mówił o Bożym sądzie nad tym bezbożnym miastem, o które Abraham nadaremnie prosił, gdyż nie było tam więcej sprawiedliwych, oprócz jednego jedynego Lota.

„W trakcie opowiadania tej historii zauważyłem, że moi słuchacze gniewnie jeden na drugiego się oglądają, niektórzy nawet zakasywali rękawy, jakby chcieli się na mnie rzucić. Zauważyłem pełne gniewu ich spojrzenia, lecz nie umiałem sobie wytłumaczyć, czym mogłem ich tak bardzo urazić. Im więcej zagłębiałem się w tę historię, wydało mi się, że ten gniew rósł coraz bardziej. Kiedy już kończyłem, wspominałem jeszcze, że musieli też żyć bez bojaźni Bożej, jeśli nie mieli w swojej wiosce nabożeństw. Z wielkim naciskiem wskazywałem na ten ich niedostatek nie dłużej chyba jak przez kwadrans, gdy nagle straszna powaga, zdawało się, ich ogarnia i ujrzałem, że zgromadzeni jeden po drugim klękali i prosili o miłosierdzie. Gdybym miał w każdej ręce miecz, nie mógłbym ich prędzej rzucić na kolana. Prawie wszyscy obecni padli na ziemię i kto tylko był zdolny otworzyć usta wołał w głos, każdy za siebie. Musiałem z konieczności skończyć kazanie, ponieważ mnie nikt już więcej nie słuchał. Staruszek, który mnie tu zaprosił, siedział na ziemi i patrzył zdumionym wzrokiem wokół siebie.

Zawołałem do niego: „Nie możesz modlić się?” Zaraz ukląkł i głośno począł się modlić. Lecz panujące na sali poruszenie było tak wielkie, że nie mogłem niczego zrozumieć. Zawołałem więc z całej siły: „Jeszcze nie jesteście w piekle, więc pójdźcie do Jezusa!”

Próbowałem dalej kazać, lecz wydawało się, że nikt z nich nie zwrócił na to uwagi. Me serce opływało radością z tego, że widziałem, że sam musiałem trzymać się całą siłą, aby nie krzyczeć na cały głos, chcąc oddać chwałę Bogu. Gdy w ten sposób się opanowałem, zobaczyłem młodzieńca, który klęczał w pobliżu mnie i prosił Boga o zmiłowanie. Położyłem mu rękę na ramieniu, a natychmiast jego wzrok się rozjaśnił, gdy mu do ucha zaświadczyłem o Ukrzyżowanym Jezusie. Uwierzył, a w ciągu minuty lub dwóch ucieszył się, uspokoił i począł się modlić za innych. Potem zwróciłem się do innego, postąpiłem z nim jak i z tamtym, i z takim samym rezultatem. I tak po kolei z następnymi”.

Choć Finney musiał ich opuścić, żeby móc kazać w Antwerpii, zgromadzenie trwało nadal w modlitwie. Odwiedził ich znowu następnego dnia, i wtedy dopiero dowiedział się o przyczynie ich gniewu w dniu poprzednim. „Powiedziano mi - opowiada Finney - że ta wioska nazywa się Sodoma, a jedynym pobożnym człowiekiem jest właśnie ten staruszek, który mnie zaprosił, a którego nazywano Lotem. I dlatego myślano, że specjalnie taki temat sobie obrałem i w taki właśnie sposób przemawiałem pod ich adresem, iż są bardzo zepsuci, aby ich nazywano Sodomą. Był to oczywiście uderzający zbieg okoliczności, wcale przeze mnie niezamierzony”.

* * *

Finney ożenił się gdy miał 32 lata. Było to w październiku 1824 roku. Swoją żonę bardzo miłował. Jednakże nowe, pilne zadanie skłoniło go do wyjazdu zaraz po ślubie i chwilowej rozłąki. Wzywało go wiele zborów, pragnących usłyszeć z jego ust Dobrą Nowinę. Głosił więc Ewangelię wszędzie, gdzie go zapraszano, i wszędzie w tych miejscowościach zaczęło powstawać nowe życie.

W Le Raywille nawróciła się po kilku tygodniach większość mieszkańców, a między innymi i miejscowy sędzia, najbardziej wpływowy człowiek w całej okolicy. Niedaleko od Le Raywille, w Ruthlandzie, mieście pełnym bardzo świeckiej próżności, miało miejsce następujące wydarzenie. Finney miał mieć kazanie w pewnym kościele. Wszedłszy tam zgrzany, usiadł na ławce, ponieważ przyszedł dosyć wcześnie. Powoli ławki zaczęły się napełniać słuchaczami. Wtem usłyszał za sobą szelest drogich szat niewieścich. Gdy się odwrócił, zobaczył młodą, pyszną damę, z której zachowania można było wyczytać, że chce zwrócić uwagę obecnych swoją osobą. Lecz Bóg ją sprowadził, żeby zajęła miejsce akurat za Finney'em. Finney się odwrócił i zapytał ją szeptem: „Czy przysłała pani po to, aby w domu Bożym zwrócić całą uwagę na siebie i przywłaszczyć sobie cześć, która należy się Bogu?” Młoda niewiasta mocno się zawstydyła, a zmieszanie jej było jeszcze większe, kiedy zobaczyła, że ten, który z nią rozmawiał, wchodzi na kazalnicę.

Po kazaniu Finney zaprosił tych, którzy mieliby pragnienie oddania się, Panu, żeby poszli do przodu, a uczynił to po raz pierwszy w swoim życiu. Ta właśnie młoda niewiasta była pierwszą, która wystąpiła, uklękła i głośno płakała. I wiele innych wystąpiło, którzy znaleźli, podobnie jak ta niewiasta, pokój z Bogiem. Jeszcze po wielu latach miał Finney okazję zobaczyć, że ta kobieta, kiedyś tak zarozumiała, służyła później wiernie swojemu Panu Jezusowi. W Readingu nawrócił się pewien znany adwokat, jeden z najprzedniejszych obywateli miasta. Przyszedł on na zgromadzenie, żeby rozmawiać z Finney'em. Na wstępie rzekł do niego: „Jestem zgubionym człowiekiem i nie mam nadziei, żeby jeszcze był dla mnie ratunek. Studiowałem w Princeton. Tam Bóg przebudził moje sumienie, a także dwom moim kolegom. Poszliśmy potem razem do dyrektora seminarium - Dr Ashoela Greena, żeby się poradzić, co mamy dalej czynić. Ucieszył się z naszego przyjscia i dał nam taką radę: „Po pierwsze, strzeżcie się wszelkiej złej społeczności; po drugie, czytajcie regularnie Pismo Święte, a po trzecie, proście Boga o nowe serce. Tak postępujcie, a Bóg was nawróci”. „A co dalej?” - zapytuje Finney. „Posłuchaliśmy tej rady, lecz wysłuchania nie dożyliśmy. Aż nareszcie zaniechaliśmy prośb, i później straciliśmy nawet pragnienie, aby stać się zbawionymi.”

„Moi obaj koledzy stali się alkoholikami i leżą już w ziemi, także i ja, jeżeli nie podniesie mnie miłość Boga, bym dostał pokuty, pójdę za nimi”. Finney spostrzegał u rozmówcy oznaki pijaństwa, chociaż była to ranna pora i adwokat był jeszcze trzeźwy. „Wskazałem mu - opowiada Finney - że swoją postawą zasmuca Ducha Świętego dlatego, że oczekuje od Boga tego, czego Bóg oczekuje od niego. Bóg

nie będzie czynić za niego tego, co jest jego obowiązkiem. Bóg żąda od niego pokuty i nie może jej czynić za człowieka. Później starałem się wskazać mu, jak działa Duch Święty, żeby poznał samego siebie, to znaczy swój stan, i skłania go do zaniechania grzechu i uchronienia się przed przyszłym gniewem Pańskim, a nakłania go do przyjscia do Jezusa”.

Najtrudniej jest rozmawiać z ludźmi niewierzącymi. Lecz i z tymi umiał sobie Finney radzić. Pewien przykład z Rochester na to wskazuje.

Pewien wybitny człowiek, który był owładnięty pesymizmem, rzekł do Finney’a: „Jestem niewierzący. Jeżeli mi pan udowodni, że Biblia jest Słowem Bożym, to będę panu wdzięczny”. „A czy wierzy pan w istnienie Boga?” - zapytał Finney. „Tak, w to wierzę, nie należę do ateistów”.

„Czy myśli pan, że sobie tym sposobem Boga kupił, lub Go tym zadowolił? Jest On najwyższym Królem, jaką więc cześć Mu pan oddaje? Czy Go pan miłuje? Myślę, że zgodnie z pana wiarą jest Mu pan winien wdzięczność”. - „Przypuszczam, że tak”. - „Czy postępuje pan według swej wiary?” - „Nie, muszę przyznać, że nie postępowałem tak, jakbym był powinien postępować”. - „Tak więc widzi pan” - mówił Finney - „dlaczego miałbym pana wprowadzić do głębszego poznania, jeżeli nie postępuje pan według tego, co pan już rozumie!” A po chwili ciągnął dalej: „Jeżeli będzie pan z tego szczerze pokutować, że postępował pan niewłaściwie względem Boga, zdecyduje się czcić odtąd Boga według swego poznania, a będzie czynić Jego wolę, wtenczas mogę panu dowieść, że Biblia jest Słowem Bożym. Dopóki nie zdecyduje się pan, żeby spełnić pierwszy punkt, byłoby i to dla pana bez znaczenia”.

Finney nie zaproponował gościowi krzesła. Było to dla niego wskazówką, że ma odejść. Odchodząc powiedział: „Nie żąda pan ode mnie niczego, co by nie było zgodne ze zdrowym rozumem”. Następnego dnia zapukał ktoś do drzwi Finney’a. Przed nim stał ów pesymista. „Panie Finney” - zawołał - „Bóg uczynił cud!” I opowiedział jak został oświecony przez Boga, jak otrzeźwiał i postanowił służyć Jezusowi.

DZIAŁALNOŚĆ PISARSKA

Po bardzo owocnej działalności we wspomnianych wielu innych miejscowościach, musiał ewangelista, którego zdrowie w miarę upływu czasu bardzo się pogorszyło, pomyśleć o zmianie pracy i życia z wędrownego, na bardziej osiadłe. W tym też czasie przyszła propozycja objęcia pracy w powstającym w Nowym Yorku wolnym zborze reformowanym.

Finney po zastanowieniu się zaproszenie przyjął i wraz z żoną i trojgiem dzieci przybył do Nowego Yorku.

W kwietniu 1832 roku rozpoczął Finney pracę w Nowym Yorku w zborze znajdującym się w dzielnicy zamieszkałej przez najbardziej niereligijnych ludzi w tym mieście.

Po kilkumiesięcznej pracy liczebność zboru wzrosła do około pięciuset osób. Zbudowano więc salę zgromadzeń, a Finney stał się duchowym kierownikiem nowego zboru. W tym też czasie powstało około

siedmiu zborów dzięki tej pracy w Nowym Yorku. Lecz jego podupadłe zdrowie nie mogło wytrzymać już nawet takiej względnie regularnej pracy, tym bardziej, że zachorował ciężko zaraz po rozpoczęciu swojej pracy pastora. Był więc zmuszony udać się w roku 1834 na sześciomiesięczną podróż po Morzu Śródziemnym, zatrzymując się na Sycylii i Malcie.

W trakcie podróży przeżywał Finney wiele bojów i pokuszeń, kiedy rozmyślał o milionach dusz, tonących w ciemności i grzechu, a także o konieczności przebudzenia wielu zborów, które wprawdzie zostały wierne, lecz potrzebowały pogłębienia, żeby nie stały się łupem fałszywych nauk.

Pewnego dnia - już po powrocie do Nowego Yorku - gdy nurtowały go powyższe problemy i gdy modlił się bardzo żarliwie, tym bardziej, że zdrowie jego nadal pozostawiało wiele do życzenia - w jednej chwili spadła ta troska z jego serca. Późnym wieczorem Duch Święty zapewnił go, że Pan ma jeszcze dla niego przygotowaną pracę; zapewnił go, że będzie rozpoczęte dzieło prowadził dalej i w tym celu wyposaży go Pan we wszystko, co będzie potrzebne. Nie rozumiał z początku, w jaki sposób to się stanie.

Zostało mu to objawione zaraz po powrocie do ojczyzny. Czasopismo „Nowojorski Ewangelista”, które powstało jeszcze przed jego odjazdem i służyło wydatnie w propagowaniu przebudzenia duchowego chrześcijan, straciło podczas nieobecności Finney’a wielu prenumeratorów, ponieważ zamieszczano tam artykuły przeciwko niewolnictwu. Redaktor tego czasopisma zwrócił się do Finney’a z prośbą o artykuły na temat duchowego przebudzenia. Obiecywał on sobie, że w ten sposób pozyska z powrotem odbiorców pisma. Po kilkudniowym namyśle Finney zdecydował się dostarczać artykuły, a redaktor chętnie je umieszczał.

„Zacząłem zaraz wygłaszać odczyty na ten temat, i robiłem to w ciągu zimy raz w tygodniu. Redaktor je notował i następnie umieszczał w gazecie. Otrzymywałem je dopiero po wydrukowaniu. Ma się rozumieć, że te odczyty nie były nigdy przeze mnie przygotowywane na papierze, lecz wygłaszane bez przygotowania. Przeczytanie zaś ostatniego mego odczytu w gazecie, dawało mi temat do wygłoszenia następnego. Moje odczyty przy nadawaniu im odpowiedniej formy dla umieszczenia w prasie musiały być mocno skrócone. Mój odczyt trwał zwykle około półtorej godziny, a przeczytać go można było w ciągu trzydziestu minut.

Odczyty te zostały później wydane w formie książkowej pod tytułem: „Odczyty Finney’a na temat przebudzenia duchowego”. Pierwsze wydanie ukazało się w nakładzie 12.000 egz. i zostało w ciągu kilku dni rozchwyte. Następnie książka ta została wydana w Anglii, gdzie pewien wydawca sprzedał 80.000 egzemplarzy. Książka została przetłumaczona na język walijski, niemiecki i francuski. Na konferencji Kościoła Walijskiego wybrano komitet, który by poinformował Finney’a listownie o wielkim przebudzeniu, które ta książka spowodowała. Nieco później przyszło do Nowego Yorku zawiadomienie, że jego książka była narzędziem przebudzenia w Szkocji, w Kanadzie i innych krajach. W ten sposób zostały jego gorące modlitwy wysłuchane, a obietnica Boża wypełniona.

FINNEY - PROFESOREM TEOLOGII

Wielu młodych ludzi zwróciło się do Finney’a z prośbą, by móc pod jego kierownictwem przygotowywać się do służby kaznodziejskiej. Finney długi czas namyślał się, czy przyjąć ofertę jednej z

dwóch szkół teologicznych, które czyniły usilne starania, aby pozyskać Finney'a na stanowisko profesora praktycznej teologii. Po pewnym czasie uznał w tym wolę Bożą i zrozumiał, że go Pan wołał do przygotowania Mu prawdziwych kaznodziei dla różnych kościołów. Ponieważ szkoła w Oberlin znajdowała się dopiero w stadium organizowania i posiadała skromniejsze środki, wydawało mu się, że jest w większej potrzebie, niż szkoła w Hudson. Przyjął więc jej ofertę, zastrzegając sobie jednak, że każdego roku będzie mieć kilka miesięcy dla siebie, dla działalności ewangelizacyjnej.

W pierwszych latach swego pobytu w Oberlin czuł się dłużnikiem swego zboru w Nowym Yorku i postanowił w nim spędzić zimę, służąc jako ewangelista i kierownik zboru. Prowadził tam oprócz działalności kaznodziejskiej dla niewierzących także regularne zgromadzenia dla wierzących, dla pogłębienia ich życia duchowego i wprowadzenia ich do tajników prawdziwego życia chrześcijańskiego. Ta działalność została obficie pobłogosławiona.

Do Oberlin przyjeżdżali przeważnie sami wierzący studenci. Tworzyli oni wraz z nauczycielami jeden organizm, w którym jeden członek starał się drugiemu „posiłku dodawać”. Jeżeli tam trafili inaczej myślący studenci, bywali przez nawróconych już pobudzani do duchowego życia tak, że w uczelni wiadomości teologiczne szły w parze z praktycznymi. W całej okolicy w wyniku działalności Finney'a powstało wielkie przebudzenie.

Swym studentom dawał on obok materiału naukowego jeszcze jedną radę: „Poleciłem wam do przeczytania wiele książek, które mogą przynieść wam wiele korzyści, lecz Biblia musi stanowić dla was najważniejsze studium. Uczynimy ją najważniejszym naszym podręcznikiem, modląc się przy jej czytaniu i porównujemy przeczytane Słowo z własnym życiem, żyjemy jej treścią, aż napelni nas Duch Święty, Duch zupełnego poświęcenia. Jaka szkoda, że wielu absolwentów zna Biblię mniej od innych książek świeckich!”

Po dwuletniej pracy w Oberlin, wygłosił Finney w Nowym Yorku szereg odczytów na temat: „Chrześcijanin z imienia”. Odczyty te zostały także wydane w formie książki. Nie zdobyły one prawdziwie takiego rozgłosu, jak książka o „Duchowym przebudzeniu”, lecz osiągnęły także po kilka wydań.

DALSZY ROZWÓJ ŻYCIA WEWNĘTRZNEGO

Rok 1843 stanowi niezapomnianą datę w życiu Finneya. Z nią bowiem jest związany dalszy rozwój jego wewnętrznego życia. Zaczął sobie zdawać sprawę z tego, że jego żona wkrótce od niego odejdzie. Myśl, że ma ją utracić, wypełniała boleścią jego serce do głębi. Wewnętrzny spokój został zachwiany. Poprzednio, kiedy się poruczał Bogu, przynosił równocześnie swych umiłowanych, swoje i ich życie kładł na ołtarz Boży i poddawał się wraz z nimi woli Bożej. Lecz nigdy nie przyszło mu na myśl, żeby mogło dojść w jego życiu do takiej katastrofy. Na cichy głos Pana, żeby Mu wydać to, co miał najdroższego, nie mógł się zgodzić. Całymi godzinami trwał na kolanach, lecz nie mógł się pozbyć wrażenia, że sprzeciwia się woli Bożej. To go bardzo przestraszyło i zasmuciło, nigdy by nie był poprzednio pomyślał, że jego własna wola może do tego stopnia sprzeciwiać się Panu.

Napisał więc do swej żony i opowiedział jej o swym bólu. W trakcie modlitwy nasunęły mu się myśli: „Cóż by to było, jeśliby twoje dobre chęci i przeżycia były tylko uczuciami, a twoje serce pozostało

niepoddane całkowicie Bogu?” „Czy dobrze rozumiesz czego uczy Biblia? Czy twoja wola jest rzeczywiście podporządkowana woli Bożej?” Wtenczas nasuwały się mu wiersze, które mówiły o niebezpieczeństwie okłamywania samego siebie. Boleść, jaką mu to sprawiło, była nie do opisania. Owe straszne pokuszenia nie trwały długo. Finney traktował je jako piekielne strzały szatana. Wtedy poddał się Pańskiemu prowadzeniu całkowicie, jak nigdy dotąd: „Jakakolwiek by nie była wola Twoja względem mnie i moich najbliższych, czyni Panie, co Ci się podoba”. I w tej chwili wszystko, co tak gorąco miłował, żonę i dzieci, oddał z ufnością w ręce Boże. „Dopiero wtenczas mogłem w pełni zrozumieć, co to znaczy oddać się Bogu! Długo zostawałem w modlitwie na kolanach, rozważając wszystko na nowo, i jeszcze raz oddałem to wszystko Panu: losy Kościoła, rozwój religijności, nawrócenie świata, własne zbawienie lub zgubę”. Nie mogłem już inaczej, jak wszystko powiedzieć Jezusowi z całego serca, a On żeby ze mną postąpił, jak się tylko Jego świętej woli podoba.

Z całego serca wierzę w Jego dobroć i miłość, i nie wierzę w to, żeby ze mną coś uczynił, czego bym nie mógł przyjąć z pełną wdzięcznością.

Zostałem napełniony świętą mocą, światłem i miłością, gdy do Niego wołałem z prośbą, żeby ze mną postąpił według Swej woli. Wierzyłem głęboko, że On uczyni ze mną jedynie to, co będzie doskonałe, mądre i dobre, a ja otrzymałem już dosyć dowodów dobroci, żeby się móc z ufnością oddać Jego prowadzeniu. Tak radosnej i zupełnej ufności oddania się woli Bożej jeszcze nigdy poprzednio nie dożyłem. Przed tą radosną ufnością ustąpiło wszystko, na czym dotychczas budowałem. To, co poprzednio dożywałem z miłości i pocieszenia Bożego, zupełnie zniknęło wobec wielkości nowego przeżycia. Moje obcowanie z moim Panem spoczęło od tej chwili na nowym gruncie, a moja ufność do Jego dobroci, spoczywała odtąd na nowym fundamencie.

Nie wiedziałem wprawdzie, co Pan ze mną postanowi, lecz było mi darowane w tej chwili, że się tym nie przejmowałem, lecz tylko ufnie czekałem”.

Finney był napełniony pełnym pokojem wewnętrznym, mimo, że chwilami nawiedzały go takie myśli: „Czy odpoczywasz na tym, w czym się z Panem zgodziłeś? Czy chcesz pozostać w tym poświęceniu i całkowitym poddaniu woli Bożej?” Odpowiadał bez wahania: „Tak! Nie cofnę się i nie chcę próbować nawet cofać się...”.

W ten sposób otworzyło się dla Finney’a źródło radości, trwającej w ciągu tygodni, miesięcy a nawet lat. Przeżywał znów nie tylko świeżość pierwszej miłości, ale jej ogrom.

„Pan przeniósł mnie wysoko ponad to wszystko, co mogłem dotychczas przeżywać. Otwierał mi nowe i drogocenne myśli Słowa Bożego, odnoszące się do Chrystusowej mocy i pragnienia zbawienia, tak że musiałem sobie często powtarzać: „Nigdy bym nawet nie przypuszczał, że coś takiego jest możliwe. Najwięcej mnie dziwiło to, jak mało dotychczas mogłem poznać; w tym jednym słowie: „Dosyć masz na łasce mojej” (2 Kor. 12,9), wydawało się mieścić wszystko”.

„Przedziwne! Przedziwne! - powtarzałem. Wszak jest napisane o Chrystusie, że będzie nadane Mu imię: „Dziwny, Radny, Bóg mocny, Ojciec wieczności, Książę pokoju”. Kiedy wzruszenia minęły, a duch się uspokoił, mógł Finney obserwować rozwój swego wewnętrznego życia. Poznał, że Pan sam zgotował mu to przeżycie. Kiedy przeszedł przez fazę uniesienia i odnowienia, nic się później nie zmieniło w jego duchowym stanie, nadal żył w duchowej wolności, przeżywał dziecinną radość w Bogu i ufność w Słowie Jego, utwierdzenie wiary, i stale nowe fale chrześcijańskiej miłości, podczas gdy dawniej dożywał tego raczej sporadycznie.

Kilka lat po tych przeżyciach, zmarła mu umiłowana żona. Nie opierał się woli Bożej. Bez szemrania, aczkolwiek boleść jego była niezmierna, mężnie zdał ten egzamin. I boleść nad stratą odjął Pan z jego serca.

Gdy pewnego dnia trwał na kolanach, Pan mu objawił, że śmierć jej jest dla niej tylko zyskiem.

Ten wewnętrzny przewrót i zbliżenie do Pana miały na Finney'a i jego kazania wielki wpływ. Mógł on teraz w nowy sposób świadczyć o pełności zbawienia przygotowanego dla wszystkich, którzy je z Jego ręki gotowi są przyjąć. Wielu chrześcijan brało z tego wielki pożytek, lecz dla wielu było to niezrozumiałe. Tylko niektórzy z wierzących mogli to pojąć, że można przeżyć w pełni miłość Jezusa i dożyć praktycznie jej wyzwalającej mocy.

W niedługi czas po śmierci żony w 1847 r. ożenił się Finney po raz drugi, tak że jego dzieci otrzymały znowu matkę. Miał już wtedy 56 lat. Obok swych czynności w Oberlin prowadził ewangelizację w różnych miejscowościach. Na ten czas przypada jego podróż do Anglii, gdzie odwiedził Houghton, Birmingham, Worcester, a w roku 1851 Londyn. Tutaj prowadził zgromadzenia o rozmiarach podobnych, jak później jego wielki uczeń Moody.

Z wielkim błogosławieństwem tak za granicą, jak i po powrocie do domu prowadził dalej swoje odczyty i ewangelizację, w Hartwardzie, Syrakuzach, Western, w roku zaś 1856 - w Bostonie.

Także jego druga wizyta w Anglii przyniosła wielkie błogosławieństwo. To samo działo się w Szkocji. Nie zapomniwał on także o zgromadzeniach modlitewnych, gdzie tylko wyczuwał ich potrzebę. W 1860 roku wyruszył z powrotem do kraju.

OSTATNIE DNI I ODEJŚCIE

Szkoła Teologiczna w Oberlin w tym czasie, po pierwotnych trudnościach organizacyjnych, rozwijała się bardzo dobrze. Została ona wyposażona bogato w pomoce naukowe i otrzymała bogate subsydia. Liczba studentów poważnie wzrosła. W Oberlin powstały liczne związki, a studenci tworzyli liczne kółka wśród siebie. Nastąpiło tam ruchliwe życie, lecz wkraśniała się świeckość. To skłoniło Finney'a, by po powrocie do domu zacząć pracować na nowo nad duchowym ożywieniem studentów. Aczkolwiek był już starcem, miał kazania dwa razy w tygodniu, a oprócz tego prowadził specjalne zebrania o kierunku przebudzeniowym. Oprócz tego zaprowadził codzienne modlitwy, które odbywały się w kaplicy.

Nastąpiło wkrótce znowu wielkie przebudzenie. Lecz w toku tej owocnej pracy, Finney zachorował na febrę. Miało to miejsce po jednym z najbardziej błogosławionych zebrań. Przez trzy miesiące musiał leżeć w łóżku.

Przez ten wypadek tempo jego pracy zostało zahamowane. Lecz kiedy się podniósł z pościeli, zaczął pracę na nowo i rezultat był taki jak zawsze. Dla wielu nienawróconych ludzi ustawiczna jego działalność była nie na rękę. Tym bardziej cieszył się starszek nauczyciel, kiedy widział jak ta praca zdobywa sobie teren, i jak grupa studentów bierze w niej udział. Wierzący studenci wywierali wielki wpływ na nienawróconych kolegów. Potworzyli między sobą różne kółka, w których się modlono i

zapraszano młodzież również z miasteczka. Na tej pracy spoczywało wielkie błogosławieństwo

Chociaż Finney przekroczył lat siedemdziesiąt, był stale czynny; zapraszano go do wielu miejscowości, dla urządzenia tam ewangelizacji.

Widział on jeszcze wiele pracy w domu, a siły mu już brakowało, był więc zmuszony z wielu zaproszeń nie skorzystać. Lecz prośbie, którą mu przedłożyli profesorowie z Oberlin, po dłuższych wahaniach, odmówić nie mógł, mianowicie, żeby napisał swój życiorys. Zastrzegł sobie tylko to, że życiorys ten może zostać wydany dopiero po jego śmierci. W roku 1867, jako 75-letni staruszek zabrał się do tej pracy. Była mu w tym pomocą, zachowana bogata jego korespondencja. W pozostałym był skazany na swoją pamięć, która była podziwu godna i żywa. W przedmowie napisał: „Odczuwam, rzecz zrozumiała, wielką niechęć do pisania o sobie, lecz jestem do tego zmuszony, jeżeli miałby być opowiedziany prawdziwy przebieg wielu przebudzeń. Lecz proszę wziąć pod uwagę fakt, że nie jest moim zamiarem opisywanie przygód mojego życia, i nie chcę się nim zajmować więcej, jak tylko tyle, ile wymaga historia wielkich nawróceń i mego stosunku względem tego zjawiska”.

W styczniu 1868 r. miał Finney dzieło gotowe. Po jego śmierci w r. 1876 książka została wydana przez Fakultet Teologiczny w Oberlin. Finney mógł aż do r. 1872 wykonywać obowiązki profesora teologii i przełożonego tamtejszego kościoła. Pomagał mu wprowadzić jeszcze jeden kaznodzieja, lecz Finney starał się kazać przynajmniej raz w tygodniu. Niezależnie od tego, od długiego już czasu był profesorem praktycznej teologii. Rok za rokiem głosił o rozwoju życia duchowego, o chrześcijańskiej praktyce i o przebudzeniu. W roku 1872 musiał nareszcie rzec się funkcji kaznodziei, ponieważ nie starczało mu już sił. Od czasu do czasu jeszcze wstąpił na kazalnicę, a w ostatnim miesiącu uczynił to dwukrotnie.

Ostatni cykl wykładów skończył około 9 miesięcy przed śmiercią, w lipcu 1875 roku. Jego starość opisali koledzy ze szkoły teologicznej następująco: „Mimo wyczerpującej pracy jaką wykonywał, przez całe życie było widoczne u niego, że brzemień lat mało mu dolega. Nosił się prosto, jak młodzieniec i do ostatniej chwili zachował siłę ducha. Jego życie i charakter nigdy może bardziej nie obfitowały w owoce, piękno i dobroć, jak w jego ostatnich latach i miesiącach. Jego działalność publiczna była oczywiście już bardzo ograniczona, ale cicha moc płynęła od niego jako błogosławieństwo na całą społeczność, którą w ciągu 40-tu lat prowadził, kształtował i błogosławił”.

Krótko przed jego odejściem, odwiedził go jeden z jego kolegów, któremu rzekł: „Kiedy umrę, nie szukajcie mnie między umarłymi. Odchodzę tam, gdzie będę bardziej żywy, niż wy tutaj na ziemi”.

Przed zachodem słońca, kiedy zaczęło się wieczorowe nabożeństwo, wyszedł na chwilę przed dom, oparty na ramieniu swej żony. Na chwilę usiadł przed kościelnym oknem, żeby posłuchać śpiewu. Kiedy wrócił do domu, skarżył się na boleść serca. Położył się do łóżka, a jego żona usiadła obok niego. Na pół godziny przed śmiercią powiedział do niej: „Wierz, kochana, że długo to trwało, nim mogłem poznać, co ze mną chce Pan uczynić. Długo, długo się ociągałem”.

Żona mu odpowiedziała, że były to drogi Boże, którymi był tak dziwnie prowadzony i przypomniała mu, jak długi czas mógł dla Pana pracować, co jest wielkim darem Bożej miłości. Uśmiechnął się szczęśliwie i rzekł cicho: „Ja Mu nie byłem niewierny, prawda?” Były to ostatnie jego słowa

Zasnął cicho rankiem następnego dnia. Było to 16 kwietnia 1876 roku, na dwa tygodnie przed 83 rocznicą swych urodzin.

„Ja Mu nie byłem niewiernym!” - ostatnie słowa umierającego są jasnym świadectwem wiernego wyznawcy Jezusa Chrystusa, którego życie i cierpienia wzywają i nas do naśladowania Go.